RADZYŃSKI ROCZNIK HUMANISTYCZNY
tom 3, 2005

Zygmunt Szmulik

Międzywojnie, okupacja i „wyzwolenie" w Lipniakach

Odzyskanie niepodległości Polski otworzyło nowy rozdział w życiu naszej rodziny i mieszkańców wsi Lipniaki. Wieś była biedna i zacofana. Bardziej postępowymi byli gospodarze części wschodniej: Edward Migal, Aleksander Grzywacz, Wiktor Grzywacz, Ludwik Duda, Franciszek Szmulik, Tadeusz Dadun, Józef Smoliński, Julian Zborowski, Benedykt Stolarczyk, Stanisław Kowalik. Na ten okres przypadł również rozwój pierwszych zorganizowanych form współpracy między Polakami, a przy tym swoista *praca od podstaw*.

Nasz tata, Franciszek Szmulik, czynnie włączył się w tworzenie organizacji chłopskich. To dzięki niemu powstaje w Lipniakach Koło Rolnicze, a następnie sklep spożywczy „Postęp". Wkrótce powstaje również Koło Gospodyń Wiejskich, na którego czele staje Józefa Szmulik, oraz Koło Młodzieży Wiejskiej z prezesem Tadeuszem Dadunem. Społecznikostwo zapoczątkowane jeszcze podczas służby wojskowej, pchało tatę do różnych form działalności na terenie całego powiatu radzyńskiego. Zasiadał we władzach samorządowych gminy Kąkolewnica, Sejmiku Powiatowym, Powiatowym Zarządzie Kółek Rolniczych, był ławnikiem w Sądzie Rozjemczym w Radzyniu, działał w ruchu spółdzielczym oraz Polskim Stronnictwie Ludowym „Piast". Poza sprawami społeczno-politycznymi interesowały go również zagadnienia oświaty rolniczej. Koło Młodzieży Wiejskiej szkoliło rolników w zakresie nowych technologii produkcji, m.in. stosowania płodozmianu i hodowli zwierząt. Staraniem Koła wprowadzono w Lipniakach hodowlę nowego gatunku owiec, zwanych marynosami. Kilku rolników ukończyło Szkołę Przysposobienia Rolniczego w Komarówce Podlaskiej.

Oddzielną sprawą była uprawa lnu i konopi. Z obróbki i wyrobów tkackich zasłynęły członkinie miejscowego Koła Gospodyń Wiejskich. Doniosłą rolę pełniła w tym zakresie instruktorka Helena Podolska. Dotychczasowe wąskie krosna zostały poszerzone, usprawniono w nich działanie czółenka, gospodynie otrzymały liczne wzory i próbki tkanin. Po kursie rozpoczęto tkanie kilimów, portier, narzut. Szerokie zastosowanie znalazła wełna owcza.
Koło Gospodyń w Lipniakach, któremu wiele czasu poświęcała nasza Mama, zyskało wielki rozgłos, zwłaszcza w organizowaniu wiejskich, gminnych i powiatowych wystaw. Mamę wyróżniono dyplomem „Przodownicy Kół Gospodyń Wiejskich", a koło otrzymało wiele dyplomów i nagród w postaci urządzeń do obróbki lnu.
Docenione zostały również zasługi taty w dziedzinie szerzenia kultury rolnej, m.in. otrzymał Brązowy Krzyż Zasługi, a w 1937 r. wysłano go na wycieczkę do Danii i Szwecji.
Za zasługi położone w zakresie działalności Młodzieżowego Kółka Rolniczego kilkakrotnie wyróżniany dyplomami był Tadeusz Dadun.
[...]
W celu wyeliminowania monopolu miejscowego Żyda w handlu spożywczym, pod kierunkiem Taty postępowi chłopi lipniaccy założyli spółdzielczy sklep spożywczy. Członkami spółdzielni byli miejscowi chłopi. Wkłady członkowskie, które wynosiły 16 zł (1 q żyta kosztował 12 zł), zwróciły się jako dywidenda już po pierwszym roku obrachunkowym. Natomiast poziom usług sprzedażnych był dużo wyższy niż u konkurenta żydowskiego.
Podobnie działania eliminujące monopol Żydów w handlu, podejmował tata (jako radny) również w innych miejscowościach. Jego *prawą ręką* był Tadeusz Dadun, syn Adama, człowiek młody i pełen energii.
[...]
W 1934 r. tata, jako pierwszy gospodarz we wsi, kupił radio słuchawkowe (*na kryształek*), a po kilku latach radio głośnikowe. Audycje radiowe z naszego radia, a zwłaszcza Msze święte, były słuchane przez wielu mieszkańców wsi.
Trudy życia i praca fizyczna hartowały ludzi, zatem zdrowotność na wsi była na ogół dobra. Nasze dziecięce schorzenia leczyła babcia Dominika, a potem mama Józia, metodami domowymi. Stosowały pijawki, bańki oraz różnego rodzaju zioła, które same zbierały, suszyły, łączyły i odpowiednio przechowywały. Mimo żarliwej religijności rozpowszechnione były gusła, zaklęcia i zabobony.
Leczenie zwierząt, w związku z brakiem służb weterynaryjnych, opierało się na tradycyjnych metodach, przekazywanych z pokolenia na pokolenie. Nasz tata, jako jedyny we wsi, posiadał strzykawkę dla zwierząt i umiał wykonywać zastrzyki. Często też gratisowo udzielał porad weterynaryjnych.
Okoliczne lasy były pełne zwierza, stanowiły więc raj dla myśliwych. Las dostarczał również owoców runa leśnego, takich jak: grzyby, jagody, borówki, a także orzechy, których zbieraniem zajmowały się głównie kobiety. Dosyć łatwe była także pozyskiwanie opału i budulca. Drewno do budowy przygotowywane było przez wyspecjalizowanych traczy, stanowiących zespół czterech mężczyzn, którzy piłą ręczną tarli dłużyce na bale, deski lub kantówkę. Niedobory słomy w niektórych gospodarstwach

uzupełniane były ściółką leśną. Wykorzystywano ją również do ogacania domów i kopców z ziemniakami na okres zimowy.
Większość budynków wiejskich kryta była słomą, również nasz dom mieszkalny. Były to tradycyjne, drewniane budynki parterowe, trzyizbowe, składające się z kuchni, dużej izby i alkierza, do których wchodziło się przez obszerną sień. Domy wyposażano w spiżarnie, trzon kuchenny połączony był z piecem chlebowym. Piekło się w nim pyszny, pachnący, razowy chleb na dębowych liściach. Ogrzewanie pomieszczeń odbywało się za pośrednictwem pieców grzewczych, opalanych drewnem.
W latach trzydziestych tata pokrył budynki gospodarcze dachówką cementową, wykonaną we własnym zakresie za pomocą wypożyczonej dachówczarki.
[...]
Wybuch II wojny światowej zastał nasze rodziny rozproszone. Zaczął się exodus, którego celem było głównie zapewnienie ludziom schronienia przed działaniami niemieckiego i sowieckiego okupanta. Takim bezpiecznym w miarę miejscem dla większości z nas okazały się Lipniaki, gdzie żyli jeszcze i wujowie i dziadkowie, a więc tam, gdzie istniał rodzinny dom. To on pozwolił nam przetrwać okres czarnej nocy okupacyjnej, choć (jak się miało okazać) nie wszystkim. We wrześniu 1939 r. przyjechała do nas z Będzina Janina Łaniewska z rodziną. W pierwszych dniach wojny powrócili z wojska tata i wujkowie. W domu zaroiło się od nowych lokatorów.
17 września wkroczyła do Polski Armia Czerwona, a już 28 września pojawił się w Lipniakach pierwszy sowiecki zwiad konny. Od naszych rodzin, Szmulików i Dadunów, zażądali po 3 worki owsa. Trzeba było szybko uruchomić młocarnie i spełnić żądania najeźdźcy.
Frontowy Wehrmacht niemiecki nie pojawił się we wsi od razu. Pierwsze zwarte oddziały różnych rodzajów policji zaczęły przybywać do dystryktu lubelskiego pod koniec października 1939 r. Zaczęły się prześladowania.
[...]
W roku 1940 [Niemcy] rozpoczęli budowę lotniska w Mariance [Maryninie – przyp. red.] koło Radzynia. My także zostaliśmy zmuszeni do pracy na lotnisku ze swoimi furmankami. Wszystkim właścicielom koni narzucono kontyngent do odpracowania. Pełna dniówka obejmowała dowóz trzech furmanek żwiru. Jeździłem do tych prac z wujem Tadeuszem. Woziliśmy żwir z odległości około 5 km, bitą drogą. Dojazd do lotniska wynosił 16 km.
Zimą musieliśmy wozić z lasu drewno budulcowe do tartaku w Bedlnie. Zima 1940/41 była bardzo mroźna i śnieżna. Kontyngenty pracy końmi były bardzo wysokie (akordowe). My mieliśmy 4 konie a wuj Tadeusz Dadun 2 lub 3. Ponieważ zaprzęg dwukonny przy grubej pokrywie śnieżny nie sprawiał się dobrze, jeździliśmy w zaprzęgach jednokonnych, z końmi zaprzężonymi do dwóch sań, prowadzonych przez jednego woźnicę. Drewno wywożono ze zrębów w lesie główieńskim a załadunek kloców odbywał się przy udziale wszystkich mężczyzn z obu rodzin. W ciągu jednego dnia odbywaliśmy dwa kursy czterema saniami. W czasie drugiego załadunku konie zjadały obrok, a my obiad przyniesiony z domów. W tartaku rozładunkiem

drewna zajmowali się Żydzi pod ostrym nadzorem Niemców. Powrót do domów odbywał się późnym wieczorem.
Poza podwodą narzucono nam kontyngenty zbożowe i mięsne oraz podatki gruntowe. Krowy i świnie kolczykowano i ewidencjonowano przy jednoczesnym zakazie uboju dla potrzeb własnych przed wykonaniem dostaw obowiązkowych na rzecz okupanta. Szybko powstały więc podróbki kolczyków i słynna metoda przenoszenia kolczyka z tucznika na warchlaka. Poza tym chowaliśmy świnie dla potrzeb własnych w ukryciu za osłoną z drewna lub ze słomy.
Obok budowy lotniska na Mariance Niemcy czynili przygotowania do ataku na Związek Sowiecki również w innych dziedzinach. Pojawiły się zwiększone ilości wojska i policji niemieckiej. Wojsko zaczęło budowę szałasów i miejsc postojowych (łącznie z wierceniem studni) dla Wehrmachtu w lasach kąkolewnickich. Utajniając końcowe prace na lotnisku Niemcy usunęli od pracy zarówno Żydów jak i Polaków. Do kontynuowania robót zabrali nam natomiast kasztankę. Do domu wróciła dopiero w roku 1942.
W roku 1940 i później Niemcy przesiedlili do naszej wsi wiele rodzin z Poznańskiego, Kieleckiego i Zamojszczyzny. Ludzi tych trzeba było przyjąć i dać im dach nad głową. U nas mieszkały rodziny Długich i Blabusiów wraz z dziećmi. Ich dola była bardzo ciężka. Miejscowa ludność przychodziła im jednak z pomocą. Wydatnie włączył się do niej Polski Czerwony Krzyż ze swoim agendami. Jedną z nich była Rada Główna Opiekuńcza. Przewodniczącym Gminnej RGO w Kąkolewnicy był nasz tata. Jako że powszechnie znany był jako działacz społeczny, funkcja ta dawała mu legitymację do w miarę swobodnego poruszania się po terenie gminy i uzasadniała wyjazdy do Radzynia. Pod tą przykrywką ukrywał się również wywiad na rzecz rodzących się struktur Polskiego Państwa Podziemnego.
Jednym z pierwszych organizatorów Związku Walki Zbrojnej na naszym terenie był kpr. pchor. Jan Wiącek – nasz kuzyn z Kownatek. Z tatą i wujem Tadeuszem odbywał on częste spotkania. ZWZ do Lipniak przywędrowała z Kąkolewnicy poprzez ludzi tworzących jej siatkę organizacyjną. Przede wszystkim za pośrednictwem Aleksandra Mazura. W systemie piątkowym wciągnął do organizacji w pierwszej kolejności tatę, wujka Tadeusza, Edwarda Migala i Wiktora Grzywacza. Następnie przystąpili doń i zostali zaprzysiężeni Feliks Marcinek, Julian Zborowski, Tadeusz Gomółka i in. Członkom ZWZ-AK nadawano pseudonimy i funkcje wojskowe oraz przynależności organizacyjne. Wuj Tadeusz Dadun „Żbik" objął funkcję dowódcy drużyny, potem plutonu w Placówce Lipniaki, należącej do Obwodu Radzyń Podlaskim a następnie 35 Pułku Piechoty AK, dowodzonego przez mjra (ppłka) Konstantego Witkowskiego „Müllera". Ukrywał się on w Olszewnicy, a najdłużej w Płudach i Zakrzewie. Kilka razy był też i u nas.
[...]
W 1941 r. na naszym terenie wybuchła epidemia tyfusu plamistego i śmierć zebrała bogate żniwo. W szkole w Zarzecu urządzono szpital zakaźny, w którym w charakterze pielęgniarki pracowała również moja siostra Wandzia. Przez ten szpital przeszli i nasi rodzice, Józefa i Franciszek Szmulikowie. Ponieważ jednak ilość miejsc w szpitalu była ograniczona, większość chorych cierpiała w swoich domach. W Lipniakach

epidemia spowodowała śmierć około 20 osób, w tym konspiratorów: Aleksandra Mazura, Edwarda Migala, Wiktora Grzywacza.
Mimo tego działalność konspiracyjna rozszerzała się. Przybywało tych *domowych*, a ze *spalonych* zaczęły powstawać oddziały leśne. Dowództwo zgrupowań leśnych wywodziło się głównie z byłych oficerów WP. We wsiach stanowiących zaplecze dla *leśnych* nabór do ZWZ, potem AK odbywał się na zasadzie werbowania przez zaufanych, już zaprzysiężonych, członków. Nowo przyjmowanych konspiratorów zapoznawano z zasadami i celami organizacji, a następnie oficerowie przyjmowali od nich rotę przysięgi:
„W obliczu Boga Wszechmogącego i Najświętszej Marii Panny, Królowej Korony Polskiej, przysięgam być wierny Ojczyźnie mojej, Rzeczypospolitej Polskiej. Stać nieugięcie na straży Jej honoru, o wyzwolenie z niewoli walczyć ze wszystkich sił, aż do ofiary mego życia.
Prezydentowi Rzeczypospolitej Polskiej, Naczelnemu Wodzowi i wyznaczonemu przezeń Dowódcy Armii Krajowej będę bezwzględnie posłuszny, a tajemnicy niezłomnie dochowam, cokolwiek by mnie spotkać miało. Tak mi dopomóż Bóg!"
[...]
Zaangażowanie naszej rodziny w konspirację było bardzo czynne. Brała w niej udział również nasza mama, bądź to piekąc chleb *leśnym*, bądź, pośrednio, karmiąc w czasie spotkań dowódców w naszym domu.
W 1943 r. zostałem przeszkolony w Szkole Podoficerskiej na zasadzie dochodzenia na część ćwiczeń. Prowadzili je elewi w zakresie walki partyzanckiej, współdziałania z *leśnymi* w walce, obchodzenia się z bronią, prowadzenia wywiadu i konspiracji, a także działania w akcjach wysadzania pociągów. Szkoła Podoficerska mieściła się przy gajówce „Chały" a nazywano ją „Grabowiec". Po ukończeniu szkoły otrzymałem stopień starszego strzelca i powierzono mi zadanie zwerbowania młodych i zaufanych chłopców do młodzieżowej drużyny. Część z tych młodzieńców była już zaprzysiężona, od pozostałych przysięgę odebrali oficerowie.
W końcowej fazie okupacji niemieckiej było nas w drużynie 12. Pierwszą drużynę w Lipniakach tworzyli nasi starsi koledzy, członkowie AK, a dowodził nią Stanisław Kowalak „Dąbek". Jeszcze przed utworzeniem naszej drużyny starsi przekazali nam do konserwacji i ćwiczeń ciężki karabin maszynowy typu „Choczkins", który miał uszkodzony zamek. W warunkach konspiracji nie można było nawet marzyć o jego naprawie. Mimo to dodawał nam on zapału, toteż czyściliśmy go i ćwiczyli z nim bardzo ochoczo. Przechowywaliśmy go w drewnianej skrzyni zakopanej w zagajniku u Wnuków, za zgodą Franciszka Kowalczyka.
Tata udostępnił mi do ćwiczeń również swoją przedwojenną dubeltówkę i pistolet „siódemkę". W roku 1944 organizowano zajęcia bojowe i ćwiczenia współdziałania pododdziałów, pod nadzorem elewów Szkoły Podoficerskiej. Omawiano tam również sposoby organizowania sabotażu, w tym zwłaszcza wysadzania pociągów przy współpracy z *leśnymi*. Każdy udział w akcji procentował otrzymaniem nowego uzbrojenia lub amunicji. Punktem honoru każdego z nas było wzięcie udziału w akcji wysadzania pociągu.
[...]

W marcu 1944 r. część naszej drużyny uczestniczyła w akcji na granatowych policjantów i Niemców nadzorujących pracę przy wyrębie lasu. Zostali oni rozbrojeni i wypędzeni z lasu dwukrotnie.
Założeniem dowództwa było wprowadzanie nas najpierw do niegroźnych akcji, *otrzaskanie* z walką. Dla mnie akcją wprowadzającą było ubezpieczanie napadu na pociąg osobowy na stacji kolejowej w Kownatkach. Byłem wtedy woźnicą naszego dwukonnego zaprzęgu. Poza seriami *leśnych* wchodzących do wagonów, rozbrajanie Niemców odbyło się bardzo spokojnie i bez ofiar w ludziach. Akcja odbyła się wieczorem, trwała około 30 minut, a wróciliśmy z bronią, amunicją, odzieżą i żywnością.
W maju 1943 r. miałem wziąć udział w akcji szkoleniowej, połączonej ze zdobyciem zaopatrzenia dla 34 pp. AK w majątku koło Białej Podlaskiej. Nasz udział w ostatniej chwili odwołano, bo skierowano nas do wysadzania pociągu. Natomiast 7 kolegów z Zosinowa i Kąkolewnicy zginęło w zasadzce przygotowanej przez Niemców w okolicach Witulina. Odpowiedzialnością za złe zorganizowanie akcji obciążano dowódcę Obwodu Bialskopodlaskiego AK – „Zenona".
[...]
Odpowiedzią Niemców na działalność konspiracyjną mieszkańców Lipniak była pacyfikacja przeprowadzona 13 października 1942 r. Dokonano przeszukania wioski, a po odkryciu 6 ukrywających się Żydów, rozstrzelano ich na okolicznym wzgórzu. Do naszego drewnianego młyna spędzono wszystkich mężczyzn, którym nie udało się zbiec do lasu, a niemieckie dowództwo akcji ulokowało się w naszym domu i poleciło podać jedzenie. Następnie rozpoczęły się swoiste pertraktacje o zwolnienia za łapówkę. Rozmowy te prowadziła moja siostra Wanda, która znała ze szkoły język francuski. Tak się bowiem złożyło, jeden z niemieckich oficerów był pochodzenia francuskiego. Za kury, masło, jaja Niemcy zwalniali kolejnych zatrzymanych. W ten sposób udało się wyrwać hitlerowcom 27 z 40 zatrzymanych mężczyzn. Pozostałych 13 wywieziono do obozu na Majdanku, gdzie zginęli niemal wszyscy.
[...]
Moim największym wyczynem wojennym było rozbrojenie 28 Niemców, którego dokonałem wraz z przyjacielem Januszem Domańskim. Podczas działań frontowych w naszym rejonie Sowieci zamknęli kocioł, w którym pozostały oddziały niemieckie. Sowieckie wojska frontowe przeszły przez Lipniaki 17 lipca 1944 r. i dalej posuwały się w kierunku północnym, zatrzymując się w na krótko Olszewnicy. Nie napotykały one w tym rejonie żadnego oporu. Po dwóch dniach pojawił się w Lipniakach nietypowy oddział niemiecki rozbitków na ciężkich artyleryjskich koniach. Niemcy i konie byli mocno ubłoceni i głodni. Rozlokowali się na odpoczynek w sadzie naszych sąsiadów Kowalczyków. Janusza bardzo zainteresowały siodła, które były nowe i imponujące. Znając język niemiecki i zwyczaje wojskowych, szybko nawiązał kontakt z dowodzącym grupą oficerem, któremu zaproponował żywność. Gdy Niemcy się pożywiali, Janusz szybko porozumiał się ze mną i Frankiem Kowalczykiem. Franek z rkm-em zajął stanowisko od strony wschodniej, ja z drugim od zachodniej, za płotem naszej posesji. Akcja w żaden sposób nie była uzgodniona z wujem, gdyż baliśmy się, że mógłby się nie zgodzić i – jak zauważył Janusz – „siodła przeszłyby nam koło nosa". Poza rkm-ami mieliśmy granaty ręczne. Akcję rozpoczęła

rakieta świetlna wystrzelona przez Janusza. Oddaliśmy serię w powietrze z rkm-ów, potem Janusz strzelił w niebo ze *szmajsera* i wbiegając do sadu krzyknął: „Hande hoch!" Całkowicie zaskoczeni Niemcy natychmiast wywiesili białą szmatę. Wtedy zbliżyliśmy się i my z Frankiem, cały czas jednak trzymając Niemców na muszce. Janusz odsunął żołnierzy od broni zestawionej w kozły i pojedynczo przeszukał, zdejmując pasy, część płaszczów i butów i pojedynczo skierował w stronę Olszewnicy. Jako ostatniego skierowano oficera. Nam pozostały konie, wymarzone siodła i broń. Wtedy zjawili się, niewidziani przez nas wcześniej, wuj Tadeusz i tata. Szybko wymierzyli nam policzki za akcję bez uzgodnienia, w nierozpoznanej sytuacji frontowej. Janusz zdołał tylko powiedzieć: „Wujku, tyle siodeł miało się zmarnować?".
Po przejęciu kilku siodeł i po parze koni oraz broni, pozostałą część zdobyczy rozebrali mieszkańcy Lipniak. Jednak nie cieszyliśmy się zdobyczą długo, bo wszystko to wkrótce odebrali nam Sowieci.
[...]
20 lipca 1944 r. w ramach Akcji „Burza" następuje koncentracja 35 PP AK. [...] Według relacji Jerzego Skolińca „Kruka", zawartych w materiałach z sesji naukowej zorganizowanej na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim w dniach 23-24 września 1995 r., następne dni miały wyglądać następująco: „W przeddzień, dostaliśmy meldunek, że w lesie koło majątku Kostunin są Niemcy. Patrol złożony z 20 dobrze uzbrojonych żołnierzy AK pod dowództwem st. sierż. Henryka Potasińskiego „Skóra" szybko i sprawnie przeprowadził akcję. Kilku SS-manów odebrało sobie życie a 11 żołnierzy wzięto do niewoli i przyprowadzono do Lipniak.
Koncentrację w Lipniakach zarządzono również na 20 lipca. Objęła ona wszystkie bojówki i oddziały, które miały zadanie uzupełnić stan osobowy batalionów 35 PP. Po przybyciu do Lipniak ppłk «Müller» przekazał oficerom, że pułk będzie gotował się do walki z Niemcami i pójdzie na pomoc walczącej Warszawie. Bojówki, wg rejonów, miały wejść w skład II i III batalionu.
W godzinach wieczornych przyjechali oficerowie z armii Berlinga, którzy chcieli rozmawiać z żołnierzami. Zarządzono zatem zbiórkę. Odśpiewano «Rotę», a Szenwald, jeden z komunistycznych oficerów powiedział m.in.: «Nam mówili, że jak przyjdziemy na te ziemie, to spotkamy tylko Armię Ludową, a tu, gdzie nie przyjdziemy, to tylko AK. Olbrzymie oddziały».
«Müller» nakazał przygotować się do głównej koncentracji. Radzyń został zdobyty przez oddziały 35 PP AK i wojska sowieckie. W opanowanym mieście zaczęła funkcjonować administracja, utworzono też policję złożoną z żołnierzy AK i BCh.
25 lipca odbyła się główna koncentracja 35 PP w Kąkolewnicy. Na odprawie oficerów ppłk «Müller» zarządził sposób tworzenia rejonów i obsady stanowisk dowódczych. Po defiladzie bataliony przeniosły się na kwatery do Lipniak, Olszewnicy i Polskowoli. Następnego dnia, tj. 26 lipca, ppłk Konstatny Witkowski «Müller» pojechał do Radzynia Podlaskiego, gdzie został zatrzymany przez NKWD. MojaVII kompania III batalionu kwaterowała w Lipniakach. Moim zastępcą był wówczas pchor. Kazimierz Plutyński «Andrzej». Kompania składała się częściowo ze starej wiary partyzanckiej, zaprawionej w bojach i z żołnierzy z rejonu VI.

W godzinach popołudniowych przyjechały dwa samochody wojskowe z wyższymi oficerami sowieckimi, pułkownikami. Jeden z nich nazywał się Szpilowoj. Dowiedziałem się od niego, że dowódca naszego pułku został wezwany do Radzynia Podlaskiego na rozmowy. Z Radzynia otrzymałem gryps, że «Müller» jest jednak aresztowany.
Rozmowy z sowieckimi oficerami były bardzo przykre. Zakomunikowano nam, że żołnierze pójdą do Kąkolewnicy, gdzie złożą starą broń i otrzymają nową. Po oficerów miały przyjechać samochody po to, by – jak powiedział Szpilowoj – zawieźć ich do polskiego dowództwa. Oczywiście wszyscy wiedzieliśmy, jaki rzeczywisty cel miały rozmowy.
Koncentracja zakończyła się, tak samo jak pomoc 35 pułku dla Powstania Warszawskiego. Przed aresztowaniem dowódca zarządził ponowną koncentrację w Kąkolewnicy na 14 sierpnia. W tym czasie przybył do nas gen. Karol Tumidajski «Marcin» i razem z «Müllerem» prowadził rozmowy z Rosjanami w sprawie włączenia naszego pułku do walki o zdobycie Międzyrzeca, a później Warszawy. Po bezskutecznych pertraktacjach zapadła decyzja o rozwiązaniu wszystkich oddziałów uczestniczących w koncentracji w rejonie Kąkolewnicy".
W pierwszej dekadzie sierpnia sytuacja wyglądała następująco: wszyscy chodzą z bronią w biały dzień; czuć wielki entuzjazm; na wezwanie „Müllera" wszyscy młodzi AK-owcy przygotowują się do wymarszu na odsiecz walczącej Warszawie; jest nas sześciu i wuj Dadun; w niedzielne popołudnie 14 sierpnia dziewczyny z Lipniak żegnają nas z kwiatami, bo udajemy się na koncentrację do Kąkolewnicy Południowej; w domu łzy pożegnań, błogosławieństwa rodziców.
Do Warszawy mieliśmy jechać sowieckimi samochodami wojskowymi, lecz Rosjanie zażądali, byśmy oddali naszą broń, a oni uzbroją nas jednolicie. Oczywistą sprawą było, że były to plany NKWD, by nas rozbroić, aresztować i wysłać na Sybir. Opatrzność Boża pokierowała naszymi dowódcami, gen. „Halką" i ppłk. „Müllerem", którzy pertraktacje prowadzili do zmierzchu, a następnie polecili nam małymi grupami wycofać się do lasu i wrócić do domów. My, bardzo przygnębieni, powróciliśmy wieczorem do domów. „Halka" i „Müller" zostali aresztowani, a my w większości znaleźliśmy się na listach NKWD zawierających osoby przeznaczone do wywózki. Z Lipniak na listach tych, poza ojcem i mną, znaleźli się Tadeusz Dadun, Feliks Marcinek, Stefan Lep, Franciszek Migal, Marian Migal. Wszyscy zaczęli więc ukrywać się poza miejsce zamieszkania.
NKWD miało jednak swoich klaborantów w Lipniakach. Jednym ze „źródeł" był osobnik o pseudonimie „Kott", który doprowadzał enkawudzistów do ukrywających się.
31 października 1944 r. aresztowano naszego tatę, a następnie Tadeusza Daduna, Feliksa Marcinka i Stefana Lepa. Po przesłuchaniach zgrupowano ich w Sokołowie Podlaskim, skąd wagonami bydlęcymi taboru kolejowego przewieziono do obozu NKWD-270 w Borowiczach w ZSRR. Transport o głodzie trwał 10 dni. Ciężka praca, głód i wycieńczenie spowodowały śmierć wielu zatrzymanych, w tym Tadeusza Daduna i Feliksa Marcinka, pracujących w kopalni węgla w podobozie Schachtlagier.

Tata i Stefan Lep wrócili do Polski w marcu 1947 r. Ważyli wówczas po 39 kg i byli krańcowo wyczerpani. W rejon Borowicz w listopadzie i grudniu 1944 r. wywieziono 4893 Polaków – żołnierzy AK.
[...]